

Spadający liść

Jestem już jak opadający, jesienny liść. Światło słońca odnajduje we mnie jeszcze różne barwy i odbite rozsyła wokół mnie. Cieszę się, że jeszcze nie wygrała ze mną szarość i nie zakopałem się nieruchomiejąc w późnojesiennym błocie.

Już moja jesień życia? Tak szybko?

Wcale nie szybko! Jak ten czas kiedyś pełzał leniwie i nie rozumiał, że jest mi bardzo spieszo. Jak najszybciej chciałem doczekać dorosłości, czyli osiemnastej rocznicy urodzin. Byle przekroczyć granicę dorosłości – mówiłem sobie i mówili wszyscy koledzy. Pewnie tak samo mówiły koleżanki, ale z nimi nie rozmawiało się o wszystkim. Właściwie to nawet nie wypadało za bardzo się z nimi zadawać, bo to był inny świat. Ten inny świat był dziwny, tajemniczy i nawet czasami pociągający, ale po prostu było męską zasadą, żeby kontaktami z tym światem za bardzo się nie afiszować. Można było narazić się tym na przykre docinki kolegów. Chętnym słuchaczem dziewczęcych zwierzeń był w naszej klasie Jurek. Wygadywał dziewczynom swoje mądrości, a one przekazywały mu swoje rozterki. Nie było wątpliwości, że jest zdrajcą i zasługuje na określenie *bahul – babski bzdul*. No i jak on mógł z tym żyć?! No, ale jakoś żył. Do dzisiaj nie wiem co dosłownie znaczyć miało to pogiębiające przezwisko. W moim miasteczku osiedleni byli przesiedleńcy z różnych stron Polski, więc słychać było różne dialekty i różne języki z kresów wschodnich. Nie wszystkie z białoruskich, ukraińskich czy rosyjskich zwrotów były łatwo zrozumiałe. W szkole porozumiewaliśmy się wszyscy doskonale literackim językiem polskim. Literacki polski stanowił neutralną płaszczyznę porozumiewania się, a każde odruchowe zastosowanie kresowego zaśpiewu czy gwary wielkopolskiej, czy innego regionu, było natychmiast karane salwą śmiechu i falą przedrzeźniania nieszczęsnego, językowego dziwaka.

Drugim odszczepieńcem był Wojtek, którego kiedyś na lekcji pochwaliła nauczycielka, krewna jego mamy, z zachwytem opowiadając, jak Wojtuś potrafi robić na drutach a ostatnio upiekł nawet smaczną babkę. Zmroziło nas zupełnie. Coś takiego! Taki wstyd! Milczeliśmy pełni oburzenia bluźnierczą postawą Wojtka. *Ojej, jak ładnie!* Zawołała jedna z dziewczyn, największa zresztą lizuska, ale jej towarzyszki też były zaskoczone i wcale nie wykazywały entuzjazmu dla postawy Wojtka. Pewnie Wojtuś zakłócił też w jakiś sposób porządek dziewczęcego świata. Nie przezwaliliśmy Wojtka *bahul – babski bzdul* jak Jurka, bo jego mama była krewną naszej nauczycielki, więc było to niebezpieczne. Zachowywaliśmy w stosunku do niego wielką ostrożność, jak do chorego, który mógłby i nas zarazić. Mimo surowych zasad rozdziału świata męskiego i żeńskiego, a może właśnie dzięki niemu zakazany świat przyciągał naszą uwagę, jak magnes przyciąga żelazne opiłki. Prawie całą męską częścią klasy podkochiwaliśmy się w złotowłosej Krysi, która z wyraźną dumą udawała, że tego nie widzi. Koleżanki oczywiście widziały i z politowaniem dawały nam odczuć, że nasz męski świat nie jest zbyt mądry.

Doczekać dorosłości

Wielkim, przyciągającym magnesem był świat dorosłych, a właściwie wizja bycia samemu dorosłym. Czas wystawiał na próbę naszą wątłą cierpliwość. Jak tu obejść czas? Próby udawania dorosłości były szczególnie wymagające, gdy zamierzało się wejść do kina na film dla dorosłych. Dziewczęta stroiły się jak damy, malowały jak filmowe gwiazdy, wdzięczące się na odwrotnej stronie podręcznych lusterek i chwiejąc się na maminych butach z wysokim obcasem, starały się z godnością przejść obok biletera. My chłopcy mieliśmy gorzej. Staraliśmy się przemknąć w kolejce wchodzących do kina dorosłych niepostrzeżenie. Nie zwracać na siebie uwagi i robić swoje było życiową zasadą, której należało się trzymać. Chłopaki, których rodzice pochodzili z Kresów mawiali często; *tisze idziesz dalsze budiesz, czyli ciszej idziesz – dalej zajdziesz*. Jak wiele innych mądrości i te nie zawsze się sprawdzały. Trudno było udać dorosłego lub być niezauważonym w miasteczku, w którym wszyscy wszystkich znali, choć nie wszyscy mówili sobie *Dzień dobry!*

Bycie grzecznym wobec dorosłych i przy dorosłych wymagało dużo wysiłku. Nie łatwo było opanować naturalne odruchy poczucia sprawiedliwości. Męczyły nas zakazy, nakazy i dawane przykłady do naśladowania, które



były albo po prostu nudne, albo fałszywe. Grzeczne dzieci, poza zasięgiem obserwacji przez dorosłych, bywały swobodniejsze. Bardziej rozwinięci w udawaniu dorosłego podpalali skradzione ojcu papierosy, skręcali sami z wysuszonych liści z ogrodowych czy łąkowych roślin lub raczyli się niedopitą przez dorosłych brzydtko pachnącą wódką. Była niesmaczna, ale dziwna, bo po jej skosztowaniu wszystko wokół także stawało się jakieś inne. Kilkunastu ministrantów, ku wielkiemu rozczarowaniu miejscowego księdza proboszcza, miało w miasteczku najgorszą reputację. A to donoszono proboszczowi, że jego podopieczni raczą się owocami z cudzych ogródków albo że tłukli się w najlepsze między sobą w miejscach publicznych. W domach też się tłukli z rodzeństwem, ale tego nikt, poza zainteresowanymi, nie widział. Myślę dzisiaj, że te wszystkie oburzenia dorosłych na nas, wyrastających z za ciasnych butów i ubranek, młodych ludzi, osaczonych zakazami i nakazami, były bardzo niesprawiedliwe. Przecież my tylko chcieliśmy szybko wejść do wolnego świata dorosłych i staraliśmy się przygotować do swojej roli w świecie, który nam imponował, choć nas do siebie nie zapraszał. Nie zapraszał i nie był często z nami, a wyniosłe i niedostępne był obok i ledwie nas tolerował. Oczywiście wyjątkiem byli rodzice i rodzeństwo. No ale to przecież była naturalna część każdego z nas. Rodzice byli przyjazną, ochronną otoczką, dającą nam w wielkim świecie poczucie bezpieczeństwa. Za tą bezpieczną otoczką rodziny był wielki, ciekawy świat. Zewnętrzny świat i ludzie w tym świecie, budzili nie tylko zaciekawienie, ale wręcz przemożną potrzebę poznania ich. By zbliżyć się do zewnętrznego świata dorosłych i do uzyskania uprawnień robienia wszystkiego, co się chce, bez nudnych napomnień, krytycznych uwag i kar, staraliśmy się naśladować najlepsze, najbardziej wyraziste i przekonujące symbole dorosłości. Zdawało się nam, że właściwie jesteśmy już dojrzałymi ludźmi, gdy zaczął pojawiać się zarost na chłopięcej twarzy a dziecięcy głos, po okresie koguciego piania, zmienił się na grubszy, więc bardzo dorosły. Zdumiewało to i napawało dumą posiadaczy męskich głosów, choć przychodziło bez szczególnych starań z ich strony. Po prostu materialny rozwój ciała był widowym skutkiem ciągłego odczytywania instruktażowej księgi życia, zgromadzonej przez pokolenia przodków, aż do obojga rodziców łącznie i zapisanej w genetycznych nośnikach pamięci. Koleżanki zadziwiała nas coraz bardziej, zmieniając formę ciała na bardziej kobiecą i bardziej przykuwającą nasze spojrzenia. Ten inny świat był coraz bardziej pociągający.

Niecierpliwość dorosłości zaspokoił czas i udało się dotrzeć do krainy swobodnego życia ludzi wolnych. Dziewczyny z klasy, jeśli jeszcze żyją, są kochanymi babciami. Jurek *bahul* – *babski bzdul* i Wojtuś, co robił na drutach i upiekł babkę, są już emerytowanymi oficerami. Nie wątpię, że nie tylko ja, ale wszyscy moi rówieśnicy zachowali w pamięci okres przekraczania progu do świata dorosłych.

Za prągiem dorosłości

Zanim moje koleżanki zostały starszymi paniami a moi koledzy i ja starszymi panami, każdy z nas ciężko pracował dla urzeczywistnienia osobistych marzeń o sobie, o świecie wokół siebie i o szczęściu, które nigdy się nie kończy. Osiągnięcie wieku, w którym za dorosłego uznaje się człowieka po przeżyciu osiemnastej rocznicy urodzin, podparte świadectwem dojrzałości intelektualnej, wykazanej zdaniem egzaminów maturalnych, uznawaliśmy za dobry bilet wstępu do życia dorosłego. I ja, i moja klasa uważaliśmy, że mamy już przepustkę do życia lekkiego, łatwego i przyjemnego, w którym urzeczywistnienie pięknych planów jest tuż, tuż.

Po euforii wolności od ograniczeń i otwartym paleniu papierosów a także publicznym szczytaniu się piwem i winą, przestrzeń życia dorosłych okazywała się inna od naszych oczekiwań. Wyobrażaliśmy ją sobie jako coś znacznie lepszego i ciekawszego niż życie uczniów, męczących się z ciężką pracą wkuwania nowej wiedzy i nowych umiejętności. Oczekiwaliśmy, że młodzi, silni, mądrzy, wejdziemy w świat rajskiej wolności, w którym pokażemy gnuśnej i nieporadnej starszyźnie co należy robić, by nasz świat był szczęśliwszy. Wiedzieliśmy wszystko, lub prawie wszystko. Naiwni marzyciele wierzyli, że trzeba nade wszystko pracować, żeby być dobrym, bo tylko wtedy będzie się szczęśliwym i uszczęśliwi się cały świat. Bystrzejsi obserwatorzy porównując to, co słyszą w szkole z tym, co dzieje się poza szkołą, nabrali przekonania, że tak naprawdę liczą się spryt, siła i pieniądze, aby dobrze żyć. Wszyscy jednak uznawaliśmy, że należy trzymać się jakichś zasad, o których nam powtarzano, że są podstawą prawidłowego rozwoju każdego człowieka i całej ludzkości. Uznawaliśmy, że nie należy nikogo krzywdzić, nie należy zabijać, kraść, kłamać, że należy wyznaczać sobie w życiu szlachetne cele, a wtedy osiągnie się szczęście samemu i uszczęśliwi się innych. Wolność człowieka dorosłego umożliwić miała rozwinięcie naszych skrzydeł

entuzjazmu do zmiany swojego życia i zmiany otaczającego świata, na lepsze. Oczywiście każdy myślał głównie o sobie, a otaczający świat stanowił scenę, na której każdy z nas czuł się aktorem, grającym główną rolę w sztuce pod tytułem *Życie*, napisanej dla nas przez *Nieznane Wielkiego Reżysera*.

Rozproszyliśmy się wszyscy po ukończeniu szkół i popędziliśmy własnymi drogami do szczęścia. Część z nas poszła na studia, przedłużając swój okres ochronny. Inni poszli do pracy, budując materialne podstawy swojego życia i zakładanych rodzin. Zazdrościliśmy sobie wzajemnie, ale chyba w większości przeżyliśmy rozczarowanie. Studia miały nas uskrzydlać umysłowo i duchowo jeszcze bardziej niż szkoła średnia, a w rzeczywistości karały za samodzielność myślenia. Zakłady pracy też nie były miejscami, gdzie młodzińczy zapał i pomysłowość mogły się twórczo rozwijać. Nie tak miała wyglądać dorosłość. Chcieliśmy zmieniać na lepsze siebie i świat, a poczulismy się, jak gdyby ktoś spętał nam nogi, przy czym poganiał do przodu i krzyczał, że robimy to zbyt wolno, bo jesteśmy leniwi i nieporadni. Różnie znosiliśmy ten zimny prysznic. Część pomagała sobie używkami, część ucieczką, jednak większość godziła się z nieprzyjemnym odkryciem, że rzeczywistość pozostaje daleko za marzeniami.

Wartość marzeń i nadziei

Rzadko mówiliśmy o swoich marzeniach. Może dziewczęta były bardziej rozmarzone, ale my, męska część szkolnej młodzieży nie mieliśmy większego dostępu do ich świata marzeń. Sami też raczej rzadko zdradzaliśmy marzenia życia. O małych marzeniach; o piłce, o rowerze, o wycieczce można było opowiadać. O marzeniach, jak ma wyglądać przyszłe osobiste szczęście i co chce się w życiu robić, nie wypadało mówić. Nie wypadało, bo to mogło przynieść pecha, a marzenia mogły przestać być odkrytą osobistą ścieżką do tajemniczego lasu, w którym oczekuje podróżnika jakaś czarowna niespodzianka. Marzenia muszą pozostać osobistą tajemnicą, bo zdradzone innym staną się tylko jednym z wielu możliwych do osiągnięcia w życiu celów. Tym bardziej, że zgodne to było ze wschodnią zasadą: ciszej idziesz – dalej zajdziesz. Często marzenia były powtórzeniem marzeń rodziców, którzy widzieli swoje pociechy i siebie samych przy nich, na szczytach kariery zawodowej, urzędniczej, naukowej lub artystycznej. Na pytanie wychowawczyni, *co chciałbyś robić w życiu, co chciałbyś osiągnąć*, prawidłowa odpowiedź brzmiała; *jeszcze nie wiem, jeszcze się zastanowię*. Jeden z uczniów nieopatrznie zdradził swoje plany życiowe. Miał zamiar zostać lekarzem i mieć domek z ogródkiem, w którym będzie mieszkał z mamą. O tacie zapomniał. Klasa zamarła w czasie lekcji, ale tuż po niej nie miała litości dla szczerzego nieszczęśnika: *O! O! O! Żyje w domku z ogródkiem potwora, co bawi w doktora! Albo Dochtór – oj boli, gdy dużo swawoli!* Wiedzieliśmy, że chłopak powtórzył marzenia swojej mamusi, która życzyła jemu i sobie w przyszłości wszystkiego, co najlepsze, a przecież o tym, co najlepsze wiedziała ona, a nie rozpoczynający życie synek. Synek był nieostrożny i niepotrzebnie się wkopał, bo przecież był zupełnie normalnym kolegą. Dał sobie radę w życiu jako oficer marynarki.

Marzenia zmieniały się razem z nami, zawsze jednak pozostawały ukrytym biletem do lepszego świata, w którym ktoś skrzywdzony lub niedoceniony odnajduje swoją godność, szacunek innych ludzi i żyje szczęśliwie. W fantazjach bywało się bohaterem, podobnym do tego, który zaimponował w ostatnio przeczytanej książce lub obejrzanym filmie. Marzenia były ucieczką od rzeczywistości, gdy brakowało sił i wytrwałości do pokonywania codziennych przeszkód. Przeszkody zaś bywały różnorakie i zawsze liczne.

Naturalnej potrzeby radości, wyzwalającej się w zabawie lub napływie nieoczekiwanych, a dobrych informacji z zewnątrz, często nie mogło zaspokoić robienie czegoś, czego się nie lubi lub robi pod przymusem. W zabawie wszystkie strony zgadzają się z jej regułami i starają się ich przestrzegać. Do czasu. Ktoś, kto kolejny raz przegrywa, zaczyna tracić swoją radość i znajduje jakiś powód, dla którego może głośno wykrzyknąć – *Ja się już nie bawię!* W życiu nie na niby, a rzeczywistym, zejście z placu zabaw bywało o wiele trudniejsze. Reguły na placu poważnej zabawy w życie są już zazwyczaj ustalone, kiedy włącza się do gry kolejny młody dorosły lub młoda dorosła. Młodzi gracze życia trzymają się początkowo oficjalnie głoszonych zasad. Oficjalne zasady stanowią powtórkę zasad, wykutych na kamiennych tablicach zniesionych przez Mojżesza z góry Synaj i uznawane są za fundament cywilizacji człowieka świata zachodniego. Oficjalnie należało szanować Stwórcę wszystkiego, co dostępne i niedostępne poznaniu, Ojca życia – Boga. Oficjalnie należało szanować rodziców i ludzi starszych, nie wolno zabijać, cudzołóstwem rozbijać rodzin i krzywdzić przedmiotowym traktowaniem innego człowieka. Oficjalnie nie wolno zabierać cudzej własności, nie wolno kłamać, nie wolno nawet chcieć zabrać innemu człowiekowi tego, czego się

aktualnie nie ma, a na co ma się ochotę. Chyba w większości, wychodząc ze szkół do życia, choć już świadomi tego, że reguły bywają przez starszych od nas i przez nas samych łamane, chcieliśmy być dobrymi ludźmi. Szybko okazywało się, że ideały dobra i uczciwości są po prostu niebezpieczne i w praktycznym życiu nieopłacalne. Za naiwną uczciwość, prostolinijność spotykały surowe kary. Bardzo bolały pierwsze kłamstwa i oszustwa, pierwsze drwiny i poniżanie ze strony innych, bardziej przebiegłych w wielkiej grze życia. Wydawało się rozsądnym wyprzedanie swoich norm etycznych i ideałów, wyniesionych z rodzinnego domu i szkoły. Wydawało się, że godząc się na codzienną rozbieżność wygłaszanych haseł i sprzecznego z nimi postępowania, staniemy się równoprawnymi i lubianymi partnerami do zabawy w dorosłość. Część z nas, dam i rycerzy walki ze złem, uległa i wobec wyboru: materialnie mieć więcej lub materialnie mieć mniej, wybierała to pierwsze. Część, wierząc, że poza rodzinną wsią, miastem i krajem, istnieje lepszy świat, uciekała tam, gdzie świat kusił, że jest lepiej. Inni jeszcze uparcie trwali przy swoim rozumieniu dobra i z trudem wypracowywali warunki do życia dla siebie, a potem i swojej rodziny.

Nie znajdowała dziecięca i młodzieńcza ufność w rzeczywistym świecie dorosłych uznania. Uparciuchy uczone młodzieńcze ideałów dobra budziły niepokój. Dla zmniejszenia poczucia psychicznej niewygody, kapitulanci, męczący się ciągłym udawaniem kogoś innego, niż są sami, osaczali idealistów murem obronnym. Był to mur obronny, zbudowany z pomówień, bezzasadnych oskarżeń, drwin, pogardy i oskarżenia o niesprawność umysłową i szaleńcze odrzucanie racjonalnej przeciw rzeczywistości. Przypominało to i przypomina reakcję organizmu człowieka na rozwijające się w nim ognisko zapalne. Dla uniemożliwienia rozprzestrzenienia się skutków zakażenia na cały organizm, układ obronny doprowadza do otoczenia ogniska wałem komórek zwalczających obcych a następnie otorbia tkanką łączną, izolując od reszty organizmu. To zmniejsza ryzyko śmiertelnego zakażenia całego organizmu. Dziecięco ufni idealisci, nawet zabezpieczeni w ograniczenia, jakim poddane jest życie człowieka w rzeczywistym świecie, traktowani byli jak szkodliwe zarazki, które mogą swymi marzeniami zakłócić nieuczciwe, acz dla silniejszych i przebieglejszych opłacalne, funkcjonowanie świata. Wymuszanie wyprzedaży duchowych i racjonalnych wartości dobra dla umożliwienia łatwiejszego życia nasilało się, kiedy nadszedł czas zakładania rodzin; wcześniej dla dziewcząt, później dla chłopców.

Ja i my

Na progu dorosłości większość chłopców zupełnie nie myślała o zakładaniu rodziny. Nie raz jakiś uśmiech, spojrzenie, kilka słów lub nawet sam wygląd i zachowanie przedstawicielki żeńskiego świata, powodował pobudkę wyobraźni. Umysł, podświadomie nastrojony męskimi hormonami, które burzliwie weszły na scenę życia w okresie dojrzewania, co jakiś czas rozpałał przepiękne wyobrażenia, w których młody władca własnego umysłu był uwielbiany przez czarującą, piękną panią. Piękne i czarujące panie z młodzieńczych wyobrażeń, nie kojarzyły się zupełnie z pojęciami żony, matki i rodziny, w której obowiązki i odpowiedzialność miałyby być udziałem wyjątkowego księcia. Księciem w swoim mniemaniu był chyba każdy z nas. Niemal wszystkie mamy tak twierdziły o swoich synkach. O nie swoich zdarzało im się mówić niepocholebnie, ale to było coś zupełnie innego. Pozwalało pokazać własnego synka lepszym na gorszym tle. Tak więc trafiając na dziewczynę, która przykuwała nagle uwagę młodego księcia, całe jego JA pragnęło ją włączyć do swego świata duchowo, a jeszcze bardziej cieleśnie. Inny człowiek, tajemniczy człowiek z kobiecego świata, miał uzupełnić świat księcia swą obecnością na tyle, by księciunio był zawsze szczęśliwy. W męskiej wyobraźni urocza wybranka awansowała do roli pierwszej księżnej haremu, która zawsze piękna, czarująca i wypoczęta, uwielbia swego pana. Oczywiście, księżna z prywatnego haremu, kiedy pan znuży się jej uwielbieniem, ma prawo zająć się sprzątaniami i upiększaniem książecego pałacu, by był godnym pana. Jakie marzenia miał dziewczęcy świat nie wiedzieliśmy. Przecież nie musiały dziewczęta marzyć o czymś innym, skoro w naszych fantazjach miały już zaklepane miejsce. Dochodziły nas jednak czasami niepokojące sygnały, gdy okazywało się, że marzy im się dom, w którym one rządzą, w którym jest wiele dzieci, a upolowany mężczyzna, straciwszy swą naturalną wolność, siedzi jak pies w budzie czekając na rozkazy swej pani, pilnuje wszystkich i wszystkiego. Dziwne były też zachwyty nad lalkami, strojami, małymi dziećmi i uroczystościami ślubnymi i weselnymi. Było to wysoce niepokojące, więc należało bardzo uważać. Z drugiej strony ten dziwny, żeński świat i jego przedstawicielki oraz działające w nas wewnętrzne siły, podsycające nasze zainteresowanie tym światem i budzące potrzebę zbliżenia, nie dawały dorosłym już matrymonialnym księżątkom spokoju. Zbliżenie się do

czarującej przedstawicielki sąsiedniego świata było kuszące i racjonalnie dopuszczalne dla młodego mężczyzny. Związanie się z kandydatką na pierwszą księżną haremu było po prostu nieracjonalne. Byłoby to po prostu utratą męskiej wolności i niezliczonych możliwości, które migotały obiecująco gdzieś przed nami. Nikt nie miał wątpliwości, że fale oczarowania, chwile uniesień, kiedy wszystko stawało się tak proste, piękne i obiecujące oraz głębokie przekonanie, że znalazło się istotę, której się szukało, by stać się nową jednością, stanowi stałą składową gry życia na ziemi o przetrwanie. Szczęśliwa, romantyczna miłość i erotyczna chęć spełnienia, stanowiły zaliczkę zapłaty za codzienny wysiłek wzbudzenia i utrzymania przy życiu innego człowieka, zaczynając od fazy płodu i dziecka, a więc od okresu całkowitej bezsilności i bezbronności w jego rozwoju. Młode myśli były szybkie. Młode myśli nie sięgały poza widoczny horyzont spraw bieżących, ani za domyślny horyzont wiedzy i marzeń. Każdy kolejny dzień życia albo zachwycał, albo przerażał, albo nudził, gdy doskwierało poczucie, że stoi się w miejscu i nic się nie dzieje. Działo się na świecie, ale poczucie bezruchu opanowywało młodego człowieka, którego marzenia blakły, a on sam kręcąc się w kółko nie umiał znaleźć drogi, która zaprowadzi go do miejsca, gdzie będzie szczęśliwy. Życie, zapowiadające się jako ciągła, świetna zabawa, nagle okazywało zupełnie inną twarz, gdy kochająca Julia oznajmiała swojemu Romeo, że ma dla niego niespodziankę i że będzie nią wspólne dziecko. Wspólne szczęście Romea i Julii zwiększyć się miało więc o szczęście dziecka. Chociaż w pamięci Romea nie przebrzmiało jeszcze echo słów; „szczęście dzielone z innymi ulega pomnożeniu”, to mimo to bardzo rozwinięte umiłowanie siebie samego natychmiast włączało odruch ucieczki. Ucieczki od czego? – od dzielenia się szczęściem, bo przecież mnie przypadnie mniejsza część, a wymagające stałej troski i opieki niemowlę stanie się zabójcą pięknej miłości. Ucieczki od poczucia obowiązku za Julię i dziecko, które tak pewne są miłości Romea, wyrażającej się nie w pieszczotach, wdychaniu i poetyckich słowach, ale w działaniu, które zapewni życie i rozwój. I tak dwa tajemnicze światy, świat męski i świat kobiecy, ledwie spotkały się ze sobą i sobą zachwyciły, przechodziły jedną z najważniejszych prób życia; próbę miłości. Nie była to próba umiejętności zabawy, erotycznych umiejętności czy aktorstwa w manipulacji innym człowiekiem. Była to próba miłości prawdziwej, w której jest gotowość poświęcenia się dla dobra innego człowieka. Długo nie czułem się sam na tyle silnym, by założyć rodzinę. Początki dorosłego życia bywały mizerne finansowo, i jak roztropnie ostrzegał mnie jeden z kolegów: „w biedzie zdechnie najpiękniejsza miłość”. Mamusine książątka i poetycko romantyczni Romea, zazwyczaj uciekali w popłochu przed prozą życia i obowiązkiem dbania nie tylko o siebie. Julie zaczynały rozglądać się za bardziej atrakcyjnym, także finansowo, Romeo. A czas upływał. Upływ czasu silniej odczuwały dziewczęta, podświadomie czując, że czas dojrzałości i możliwość spełnienia się w macierzyństwie nie trwa zbyt długo, a i rola pięknej Szecherezady, będzie z czasem znacznie trudniejsza.



Szeherazada na obrazie Sophie Gengembre Anderson
Źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Szeherazada_\(postać\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Szeherazada_(postać))

Sam ciągle czułem się za młody, by założyć rodzinę, i napotykanne objawienia żeńskiego świata ostrożnie omijałem. Za młody i nie dość dojrzały czułem się po założeniu rodziny. Nie byłem wcale przygotowany do tego, by być mężem i ojcem. Podobnie, jak wielu mnie podobnych, musiałem się szybko uczyć już w swojej rodzinie. Uczyliśmy się oboje, i żona, i ja i próbowaliśmy z dwu pięknych, choć odmiennych wizji życia, stworzyć jedną wspólną. Nie przychodziło to łatwo i czasami pojawiała się ochota to u jednego, to u drugiego z nas, żeby rzucić zabawki i pójść na inne podwórko, na którym można się lepiej bawić. Dla dzieci byliśmy częścią ich świata i polisą na życie. Chciały w tym świecie być, ten świat utrzymać, ale nie były wolne od lęku, że ten świat nie jest całkowicie bezpieczny i w każdej chwili może się rozpaść. Wyświetlane czasami w niezbyt uporządkowany sposób na ekranie pamięci obrazy z przeszłości wywołują nieprzyjemny niepokój, że dzieci mogły lękać się o miłość swoich rodziców.

Miłość rodziców jest warunkiem przeżycia dzieci i warunkiem życia w ogóle. Przeżyliśmy szczęśliwie wszyscy. Dzieci od lat są już dorosłe, a ich dzieci i nasze wnuki niecierpliwie pędzą do dorosłości.

Rozstajne drogi

Wnuki pędzą, ich rodzice gorączkowo krzątają się wokół nich, siebie i tych, którzy potrzebują właśnie ich pomocy, a dziadkowie już nie spieszą się. Babcie i dziadkowie nie muszą się już spieszyć, a mimo to dziwią się, że czas, tak kiedyś leniwy i ślamazarny, gwałtownie przyspiesza. Jest tego czasu coraz mniej. Może czas starym ludziom nie jest już do niczego potrzebny? Może wszystko, co mieli w życiu zrobić już zrobili i teraz wystarczy im już poczekać na koniec swego życia? Jak odstawione gdzieś na strych domu, do piwnicy lub do jakiejś komórki stare i niepotrzebne już rzeczy, które zalegają aż do czasu kolejnych, okresowych porządków, po których zostaną ostatecznie wyrzucone na wysypisko śmieci lub sprzedane kolekcjonerom staroci. Czy tak właśnie wygląda koniec drogi życia? Czy życie ma swój koniec? Rozglądając się wokół siebie odnoszę wrażenie, że i ja i moi rówieśnicy robimy często wrażenie zdziwionych tym, że nie mamy wpływu na czas, na prawa przyrody, które zmieniają nasze ciała na ich drodze do całkowitego rozpadu. Nawet mimo wyćwiczonego odwracania uwagi od wiedzy o nieuchronności śmierci, bo przecież śmierć była zawsze w pobliżu i nieoczekiwanie zabierała kogoś z bliższego lub dalszego otoczenia, ciągle czekało na odpowiedź pytanie: *co będzie ostatecznie ze mną?*

Znam odpowiedź w części odnoszącej się do materialnej składowej mojej osoby, a nie znam odpowiedzi co do mojej świadomości istnienia i bycia odrębną istotą. Przy wielu podobieństwach fizycznych i psychicznych do innych ludzi, odczuwam swoją odrębność, a jednocześnie ciągle czuję wspólnotę. Wiem, że niezależnie od wszelkich wysiłków powstrzymywania starzenia się i obumarcia ciała, przestanie ono być mną, a stanie się bezduszną materią, stanowiącą po odparowaniu wody, garść prochu. Co się stanie z moją świadomością? Co się stanie z pamięcią przeżytych zdarzeń i emocji? Co stanie się z moimi marzeniami, wiedzą, nadziejami? Co stanie się z całą moją duchową częścią, która mogła posługiwać się dowolnie podległym jej ciałem?

Tak u siebie, jak i u wielu osób w zbliżonym do mojego wieku, zauważam rozdzielanie się dróg życia ciała i ducha tej samej osoby. Ciała starzeją się, mimo usilnego maskowania procesów ich starzenia lub bezskutecznych prób zatrzymania tego procesu, a duch pozostaje ciągle młody i pełen energii i radości życia. Ponieważ sam jestem na rozstaju dróg mego ciała i mego ducha, odczuwam to i rozpoznaję też reakcję na rozstawanie się dróg życia u wielu znajomych. Często reakcją moją i innych bywało i bywa zdumienie, że ograniczeniu ulegają funkcje ciała, zmienia się ono bez lub nawet wbrew woli i znacznie mniej można zrobić w ciągu dnia niż kiedyś. To rozstawanie się drogi materialnego ja z JA duchowym drażni i wywołuje reakcje buntu i niezrozumienia. Z czasem narasta zniecierpliwienie i złość na coraz dokuczliwszą nieporadność ciała. Tak ważne, tak pielęgnowane i dopieszczane ciało przestaje spełniać pokładane w nim oczekiwania. Ciało odchodzi od swego ducha, posłuszne prawom przyrody, a duch swym zaskoczonym tym faktem umysłem odbiera to jako wielkie nieszczęście i dotykającą go niesprawiedliwość. Nie szkodzi, że tak zawsze kończyły się historie ludzi w ich ziemskim odcinku życia. Jeśli coś takiego dotyka mnie, to nie jest to w porządku i ktoś ponosi winę. *Kto?* Ludowe porzekadło, iż „starość się Panu Bogu nie udała”, jest próbą wytłumaczenia własnej niemocy wobec granicy życia przyczyną zewnętrzną, albo krzywdzącym człowieka założeniem wyjściowym Boga Stwórcy, albo w niedojrzałości samoorganizującej się materii i przypadkowo – racjonalnej. Rozdroże osobowego rozwoju, widome jako starzenie się i rozpad ciała u schyłku drogi życia, przy odczuwalnej młodości ducha, rodzi napięcie. Są one tym większe, im więcej uwagi przykładano do spraw dbałości o ciało i materialnego dobrobytu, w którym mogło się ono rozwijać a zaniedbaniu rozwoju duchowego. Zwiększające się napięcie przyjmuje postawę buntu wobec rzeczywistości i idealizowaniu przeszłości jako „złotych czasów”, na tle których przeżywana aktualnie rzeczywistość odbierana jest jako wyraz upadku świata, cywilizacji i osobista katastrofa. Tak często więc starsi ludzie wracają do wspomnień miłych przeżyć, zapominając o przeżyciach przykrych, których było przecież nie mało. U panów bohaterskie momenty własnej przeszłości, a u pań oszałamiające wrażenie, jakie robiły urodą, strojem czy wdziękiem, wywołują ożywienie i uśmiech na twarzy opowiadających. Kontrastuje z radością bohaterek i bohaterów uprzejma obojętność, maskowane znudzenie czy wręcz ucieczka słuchaczy. Świat nie chce się dla nas starszych zatrzymać. Świat nie jest zainteresowany mądrościami, jakie chcemy mu przekazać. Nie można mieć światu tego za złe; nasze mądrościowe przemyślenia dotyczą

osobistej przeszłości i wcale nie muszą być przydatne w przyszłości nam samym, a co dopiero innym. Świat ciągle zajęty jest sobą, jak sobą zajęty był kiedyś prawie każdy z nas. Teraz też jesteśmy zajęci sobą.

Przed kolejnym progiem

Przedemną i moimi rówieśnikami czeka kolejny próg. Każdy z nas na drodze swojego życia napotykał różne progi i bariery, swoiste dla szlaku życia, który wybrał i na którym się poruszał, wierząc że idzie w najlepszym dla niego kierunku. Przekraczanie każdego z progów wymagało przygotowania, wysiłku i wiązało się z możliwością niepowodzenia wykonanej pracy.

Pierwszym progiem było przyjście na świat. Nie przypadkiem łacińskie określenie porodu *labor* znaczy *praca*. Pracą dla matki jest obrona i karmienie wzrastającego pod osłoną jej ciała innego człowieka. Ciężką pracą, wyczerpującą wszystkie możliwości organizmu matki, często z możliwością zagrożenia jej życia, jest sam poród. Przejście nowego człowieka z osłony organizmu matki na świat zewnętrzny jest dramatycznym przeżyciem dla matki a jednocześnie dramatycznym przeżyciem na pograniczu życia i śmierci samego dziecka. Ściskany w przejściu przez kanał rodny mały jeszcze człowiek, przechodzi koszmar duszenia i zagrożenia życia, tak bezpiecznego, spokojnego i harmonijnego podczas wzrastania w okresie płodowym. Wyjście ze znanego, bezpiecznego schronienia na zimny, głośny, jaskrawy i zupełnie obcy świat było pierwszym, strasznym w przeżywaniu progiem, przykrytym gojącym psychikę zapomnieniem.

Za pierwszym progiem pojawiały się kolejne. Nauka poruszania się, porozumiewania z innymi, poznawanie tego, co bezpieczne i niebezpieczne, tego co miłe z tym, co niemiłe pełne były różnorodnych progów, o które można było się potknąć i przewrócić, aby znowu wstać i uczyć się dalej. Kolejne progi to kolejne egzaminy szkolne i egzaminy życiowe, z nauką przyjaźni, lojalności, współżycia z innym. Oczekiwanym radośnie progiem z nieoczekiwaniem trudnymi dalszymi, nieprzewidywanymi wcześniej, progami było założenie rodziny i życie w niej. Samo założenie rodziny było właściwie przedprogiem. Życie w rodzinie przypominało i nadal przypomina górską wędrowkę, podczas której wysiłki wspinaczki nagradzane są często przeżywaniem przepięknych widoków i zadowoleniem z pokonania przeszkód.

Przedemną, przed moimi rówieśnikami i przed każdym żyjącym, czeka gdzieś, osłonięty parawanem nieznaności czasu, miejsca i wyglądu ostatni próg. Przekroczenie tego progu oznaczać będzie dla mnie wyjście ze świata, jaki znam. Nie wiem dzisiaj, czy za progiem tym jest nic i moja świadomość zniknie wkrótce po tym, gdy ostatecznie przestanie funkcjonować moje ciało. Czy też za tym progiem czekać będzie inny świat, podobnie jak czekał na mnie znany mi dzisiaj świat, na który przeszedłem z jedyne go znanego mi świata, który nazywał się MOJA MATKA?

Pozostaje we mnie wiara, wspierana nagromadzoną przez życie wiedzą, zebraną z odczytanych przekazów innych ludzi oraz osobistych przeżyć. Nie jest to pełna wiedza, bo tej nie ma nikt, kto ostatniego progu życia nie przekroczył. Jest to moja wiara, jest to moja nadzieja, jest to ufność w miłość, która ogarnia wszystkich ludzi, podobnie jak miłość ziemskich matek, kochających swe dzieci

Po co o tym piszę

Mam kilka powodów. Jednym z nich jest moja wewnętrzna potrzeba uczestniczenia w stałej wymianie informacji z innymi ludźmi. W przeszłości była ona spełniana poprzez codzienną wymianę sygnałów, jak uśmiech, wyraz twarzy, siła i barwy głosu podczas słownej wymiany wiadomości. Teraz, gdy rzadziej ma miejsce bezpośrednia wymiana informacji, a te które odbieram za pośrednictwem książek, gazet, telewizyjnych i radiowych programów, zmalała możliwość wysyłania na zewnątrz sygnałów własnych, potwierdzających mnie i innych, że żyję i jak żyję. Taką potrzebę zapewne miało wielu ludzi, bo jakby tradycją było spisywanie wspomnień lub przemyśleń osób odsuwających się w podeszłym wieku z czynnego działania w swoim środowisku. Bogactwo literatury pamiętnikarskiej lub autobiograficznej pozwala przypuszczać, że instynktowna potrzeba w wymianie informacji jest powszechna.

Innym powodem jest potrzeba dokonania rozrachunku z własnym życiem. Tak, jak samoocena była czymś codziennym, co automatycznie podsumowywało własne zamiary i działania z świeżej przeszłości, by można było

dokonać najlepszego wyboru „na teraz”, tak u schyłku życia dochodzi do głosu pragnienie, by jego podsumowanie wypadło dobrze, jak egzamin wstępny części dalszej swojego życia w innym świecie. Jest rzeczą znaną psychologom, że upiększanie autobiografii jest wyrazem bezradności autorów, którzy nie mają już sił, by swoje rzeczywiste życie zmienić na lepsze. Robią więc to w swojej wyobraźni, zmieniając we wspomnieniach swe życie na takie, jakie uznają w chwili pisania, że powinno być.

Jeszcze innym powodem jest chęć wyrwania się z męczącego, nasilającego się chaosu i prób zamiany prawd na kłamstwa, zagłuszania własnego myślenia, własnego wartościowania, własnego poszukiwania drogi do miejsca, do którego w swoim rozwoju osobowym zmierzam. W głośnym informacyjnym szumie, w zakrzykiwaniu jednych opinii innymi opiniami, bez szacunku do ich głosicieli a nade wszystko bez szacunku dla nieprzekupnej wartości prawdy. Często bywałem świadkiem głośno powtarzanych, modnych opinii, jako dogmaty, o których – z racji nabytej i ciągle z racji zawodu uzupełnianej wiedzy – wiedziałem, że są błędne. Żał mi było i jest bałamuconego społeczeństwa, zwłaszcza ufną jeszcze młodzieży, zniewalanych psychicznie silnym naporem fałszu.

Jestem lekarzem, wyspecjalizowanym w anestezjologii i intensywnej terapii, emerytowanym po czterdziestu siedmiu latach pracy w szpitalach, w karetkach R pogotowia oraz w salach wykładowych i seminaryjnych. Świadomy ograniczoności własnej wiedzy nawet w zakresie medycyny, postanowiłem jeszcze raz popatrzeć za siebie, na swoje życie zawodowca tylko w jednej dziedzinie życia, a amatora we wszystkich pozostałych.

Czas życia człowieka przypomina mi nieco widoczną zmienność świata przyrody podczas czterech pór roku w naszej części Europy, w Polsce. Dzisiaj czuję się jesiennym, starszym panem. Nie chcę zanudzać ani siebie, ani nikogo innego. Zanim zapadnę w swój zimowy sen, chcę jeszcze poszukać we własnej pamięci i w źródłach nagromadzonej przez badaczy wiedzy, podpowiedzi, gdzie ukrywał się przed moją świadomością sens życia.

Wspomnienia kolejnych fragmentów mojego życia, podobnego przecież, poza różnymi szczegółami jego scenariusza, do życia każdego człowieka, obejrzą jeszcze raz. Będę widział wszystko inaczej, bo bez emocji przeżywania, które dawno minęły i interpretując to, co widziałem i przeżywałem kiedyś, za pomocą umysłu, w jego stanie dzisiejszym, wspieranym dzisiejszą wiedzą.

Źródeł wiedzy jest wiele i wiele w nich danych, które bywają ze sobą sprzeczne. Postanowiłem więc, że pod każdym z rozdziałów wymienię najważniejsze z tych, którymi wspierałem się przy rozważaniu wspomnień.

Przedwczoraj i wczoraj spotkałem dwoje prawie moich rówieśników, z którymi rozmawialiśmy na tematy obrachunku z własnym życiem i nad sensem istnienia życia w kosmosie w ogólności. Jedna rozmowa trwała kwadrans, na chodniku, na którym co jakiś czas ktoś nas mijał. Druga rozmowa miała miejsce w bardziej gwarnym miejscu, w którym hałasowała obok nas grupa dzielnych rówieśników, którzy porządkowali współczesny świat, głośno objawiając, że kto ma inne niż oni poglądy jest nietolerancyjny i powinien być wyeliminowany albo choćby czegoś nauczony, a przede wszystkim ograniczony w swoich możliwościach.

Samo życie i zabawa w życie nadal trwa w ciągle zmieniającej się scenerii czterech pór roku.

Leon Drobnik